Od Łupi do Parany i Amazonki. Część III.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Wenezuela-Trinidad-Wenezuela

Rzeka Apure

Trwał okres suszy (od października do kwietnia) i soczysta, jakże bujna przedtem zieleń stała się przywiędła, zakurzona, zupełnie nie ta sama, co w porze deszczowej. Z drzew opadały masowo wielkie czerwone, żółte i fioletowe kielichy kwiatów, krajobraz stawał się coraz bardziej smętny. Mimo to, pod koniec stycznia 1973 r. postanowiliśmy skorzystać z zaproszenia mojego kolegi z Instytutu Pedagogicznego, prof. Edgara Colmenaresa (wykładał literaturę latynoamerykańską) i pojechać do

leżącej nad rzeką Apure, tuż przy jej ujściu do Orinoko, hacjendy *Los Indios* (Indianie). Jej właścicielem był stryj Edgara, Virgilio Colmenares, któremu pomagał w pracy na hacjendzie także ojciec Edgara, Manuel. 19 stycznia wieczorem ruszyliśmy z Caracas na południe dżipem, który prowadził wesoły Manolito, młodszy brat Edgara. Jechała z nami też pewna starsza pani z małym chłopcem.

Babo

Wkrótce zapadła ciepła tropikalna noc, a my, pod jej gęstą osłoną, przecinaliśmy bezkresne równiny *Guárico…*W pewnym momencie ujrzeliśmy przed nami młodego węża boa (w Wenezueli nazywane są *tragavenados,* co oznacza "połykacze saren"), gdy sunął w poprzek szosy. Manolito zwolnił na moją prośbę, by go nie rozjechać i abyśmy mogli przyjrzeć się jego pięknej skórze. Za San Fernando skręciliśmy w lewo i bardzo wyboistą, pełną kurzu drogą wiodącą prawym brzegiem rzeki Apure dotarliśmy do maleńkiej wioski Arichuna. Tam, u znajomych Manolita, usiłowaliśmy pospać parę godzin po długiej podróży. O ile pamiętam, spaliśmy pokotem, w jakimś ciasnym pokoiku. Ledwie zaświtało, wsiedliśmy na mały stateczek, który popłynął w dół rzeki Apure. Ta podróż trwała jeszcze jakieś cztery godziny, jeśli nie więcej. Kapitan stateczku musiał umiejętnie manewrować, by nie wjechać na mieliznę, o co było bardzo łatwo, zważywszy na niezmiernie niski stan wody w rzece. Przy brzegach wylegiwały się **babos** *(Caiman sclerops),* owi mniej agresywni kuzyni kajmanów, a nad nami przelatywały co jakiś czas stada białych czapli.

Zwrócił moją uwagę mocno podejrzany wygląd wody w rzece, istne kakao, płynna czekolada i to pełna wszelkiego śmiecia. Gdy zdegustowany mówiłem o tym głośno, Manolito zawołał rozbawiony: „Będziesz ją pił!" Na co ja: „Czegoś takiego na pewno

nie wezmę do ust”. Niestety, okazać się miało, że to Manolito miał rację… Mimo wczesnej pory słońce piekło już niebywale. Odczuwało się to nawet na wodzie, gdy płynęliśmy. Nasz stateczek przybił wreszcie do prawego brzegu Apure i wysiedliśmy. W oczekiwaniu na łódź, która miała przewieźć nas na przeciwległy, lewy brzeg rzeki, odbyliśmy krótki spacer po okolicy. Obok wysokich drzew w niewielkim, wysychającym jeziorku, aż się roiło od maleńkich, świeżo wyklutych *babos.* Gdy tylko zbliżaliśmy się do brzegów jeziorka, ich groźnie wyglądająca mama wynurzała się gwałtownie z wody skacząc w naszą stronę. Mimo to, Manolito schwycił jedno z tych maleństw, by nam je z bliska pokazać. Choć niewiele dłuższe od dłoni, już próbowało kąsać. Przyznam, że nie odważyłem się wziąć go do ręki. Stchórzyłem szpetnie. Natomiast Rosario okazała się odważniejsza i owszem, potrzymała je przez chwilę.

Potem poszliśmy na wysoki brzeg Apure, skąd Manolito skoczył do wody. Ja także chętnie bym się wykąpał, bo żar lał się z nieba, ale wiedząc, że w rzece nie tylko pełno piranii *(Serrasalmo Nattereri)*, ale i płaszczek z kolczastym ogonem *(Potamotrygon hystrix),* elektryzujących węgorzy *(Electrophorus electricus)* i Bóg wie, czego jeszcze, wolałem nie ryzykować. Gdy Manolito wyszedł z wody, postanowił pokazać nam piranię. W tym celu zarzucił żyłkę z haczykiem i nadzianym nań kawałkiem kiełbasy i w istocie wyłowił żółto-czerwoną niedużą płaską rybę, która błyskawicznie podskoczyła do góry i wygryzła mu całkiem głęboki dołek w opuszce palca (sic!). Krew broczyła obficie, ale Manolito zgoła nie przejął się tym incydentem.

Rzeka Apure

Wreszcie przypłynęła oczekiwana łódź. Cofnęliśmy się nieco w górę rzeki wymijając mielizny i wkrótce wyszliśmy na wysoki brzeg Apure. Przy małym domku z tarasem powitało nas dwóch panów w średnim wieku: krępy, dość tęgi właściciel hacjendy, Don Virgilio Colmenares i wysoki, szczupły jego brat, ojciec Edgara i Manolita. Była tam jeszcze mała córeczka właściciela, krucha niezwykle blondyneczka, no i pracujący ze stadami bydła na sawannie kowboje, którzy pojawili się dopiero w nocy. Mieliśmy spać w małym pokoiku, na drewnianych pryczach, ale zaduch był tak straszny, że mimo chmar komarów kąsających bezlitośnie przynajmniej do trzeciej nad ranem, wolałem spać na wielkiej krowiej skórze na tarasie. Rosari zaś z dwojga złego wolała duszny pokoik z mniejszą ilością komarów. Gdy tak sobie spałem w pierwszą noc na tym tarasie, jeszcze przed wschodem słońca (było szaro) usłyszałem nad sobą jakieś głosy. Stało nade mną dwóch kowbojów i jeden mówił do drugiego: „Patrz, to ten *musiú* (cudzoziemiec), co przyjechał wczoraj z żoną z Caracas”. Dla tych ludzi kompletnie odizolowanych od świata przyjazd kogoś z zewnątrz, a tym bardziej cudzoziemca, był takim wydarzeniem, jak nie przymierzając, nagłe pojawienie się Marsjan w środku wielkiego miasta.

Rozlewisko na Równinach

Nie tylko noce były uciążliwe. Oczywiście, nie było tam żadnej studni ani toalety. Byliśmy skazani na picie wody z rzeki i mycie się w następujący sposób: czerpało się wodę z rzeki przy pomocy dużej *totumy,* czyli połówki wydrążonej tykwy *Crescentia Cujete*, bacząc, czy przypadkiem nie pływa w tej wodzie jakaś pirania czy płaszczka i tak zaczerpniętą wodą polewało się głowę, plecy. Oczywiście, ta „kąpie

l" miała miejsce tuż nad rzeką. Pozostałe czynności, fizjologiczne także. Nie dziwota, że z trudem wytrzymaliśmy w tych warunkach trzy dni, w ciągu których nagrywałem rozmowy głównie z właścicielem hacjendy, ale także z innymi jej pracownikami. Najciekawsze były *coplas de ordeño,* czyli "kuplety przy dojeniu", oryginalne, improwizowane przez właściciela, zgodnie z powszechnym na wenezuelskich równinach zwyczajem. Chodzi o to, by krowa stała spokojnie i dała się wydoić. Zaczyna się od jej imienia, od wywołania jej ze stada przeciągłym głosem. W tym

samym czasie wychodzi też z kojca dla cielaków jej cielę i zaczyna ssać. Po chwili przywiązuje się je do przednich nóg matki i można już doić, ale nie przestając śpiewać. Są to rozmaite opowieści i na końcu każdej zwrotki pojawia się imię krowy. Jedna z krów nazywała się „Loteria”, więc Don Virgilio śpiewał jej na przykład: „Dziewczę kocha mnie na serio, moja ty Loterio”.

Okolica nie była zbyt ciekawa, głównie ze względu na panującą straszną suszę. Ziemia była spękana, nieliczne bajorka z kłębiącymi się w nich rybami, wysychały niemal w oczach. Było też w nich mnóstwo martwych ryb. 23 stycznia odpłynęliśmy w drogę powrotną do Arichuny, korzystając z okazji, że pan Wergiliusz wybierał się tam po zakupy. W Arichunie musieliśmy już radzić sobie sami. Zatrzymaliśmy więc jakąś ciężarówkę i usiedliśmy obok kierowcy. Przez otwarte okna wdzierały się całe chmury kurzu i gdy po kilku godzinach takiej jazdy dotarliśmy wreszcie do San Fernando, wyglądaliśmy jak młynarz i młynarka po przepracowanym całym dniu w młynie! Z jakąż radością usiedliśmy na normalnych krzesłach i przy normalnym, czystym stoliku w najbliższym barze, gdzie zamówiliśmy po kilka szklanek zimnego soku! Wydało nam się wtedy, że jesteśmy w autentycznym raju. Po powrocie do Caracas jeszcze przez dwa dni piliśmy duszkiem wodę i soki, tak bardzo byliśmy odwodnieni… To był ostatni i najtrudniejszy do zniesienia pobyt na Wielkich Równinach.

Tymczasem zbliżał się czas karnawału i już pod koniec, a dokładnie 1 marca, wybraliśmy się nocnym autobusem do słynnego z obchodów karnawałowych miasta Carúpano, 545 km na wschód od Caracas. Podczas długotrwałej nocnej jazdy zasnąłem jak kamień. Nagle słyszę jakieś śmiechy, widzę zapalone światło i policjanta w przednich drzwiach. Jak się okazuje, wszyscy mężczyźni stoją już na zewnątrz, a ja spałem tak mocno, że w ogóle niczego nie słyszałem. Rosario, zdaje się, też była z lekka nieprzytomna. Zdenerwowała mnie ta sytuacja i spytałem, po co niby mam wychodzić i co to za traktowanie ludzi, jakim prawem mnie budzą na jakimś pustkowiu w środku nocy i tak dalej. Jeszcze dodałem zgodnie z prawdą, że jestem gościem prezydenta i złożę na nich skargę. Jednak zmusili mnie do wyjścia. Ustawili wszystkich facetów przy autobusie, z podniesionymi do góry i opartymi o autobus rękami i zaczęli rewidować w poszukiwaniu broni, a wszystkie panie siedziały sobie w tym czasie spokojnie wewnątrz. Gdy wróciliśmy na swoje miejsca, ten sam policjant wsunął jeszcze swą smagłą gębę do środka i rzucił ku mnie: „ A

następnym razem niech mi się pan nie stawia!”

Karnawał na Trynidadzie

W Carúpano dzikie, opętańcze tłumy, hałas, zgiełk i ani jednego wolnego miejsca w hotelach! Cała Wenezuela tu przyjechała! Postanawiamy więc jechać zbiorową taksówką do odległego o jakieś 25 km na wschód Río Caribe (ktoś nam podsunął, że tam będzie łatwiej o nocleg). Nie wiem, jak długo odpoczywaliśmy w bardzo skromnym i chyba jedynym w tym miasteczku hotelu. W każdym razie w upalne popołudnie wybraliśmy się na dziką plażę, może kilometr na zachód od centrum miasteczka. Chcieliśmy być sami i zażywać kąpieli tak morskiej jak i słonecznej w strojach naturalnych i zapewniam, że wówczas nad wyraz estetycznych. Poza tym plaża miejska była dość brudna, a ta dzika wprost idealnie czysta, piękny, biały piasek. Mnie to w zupełności wystarczało, aliści Rosario zwróciła uwagę na niewielkie okrągłe żółto-zielone owoce, przypominające swym wyglądem niedojrzałe mirabelki. Pełno ich było na zwisających nisko nad plażą gałęziach drzew.

Oczywiście, nie omieszkała zerwać kilka i – jakżeby inaczej – spróbować!

I powtarza się, proszę Państwa, wypisz wymaluj, scena z raju. Leżę sobie w najlepsze na tym bielutkim piasku, gdy podchodzi Rosario i mówi: "Znakomite owoce! Wspaniałe! Spróbuj!" Tu podaje mi jeden, a sama kończy już jeść ten swój. Ja bardzo nieufny: "Dziewczyno, dlaczego jesz nieznane Ci owoce? Przecież mogą być trujące". Ona: "Ależ skąd! Naprawdę są pyszne, spróbuj tylko!". Spróbowałem, ale tylko odrobinę. Były słodkie, ale jednocześnie jakieś podejrzanie cierpkie. Jeszcze parę minut leżymy na plaży i nagle Rosario: "Kochany! Coś okropnego dzieje się ze mną. Strasznie mnie pali w żołądku!". Jeszcze chwila i ja czuję to samo. Zrywamy się i biegniemy ku pobliskiej strażnicy ochrony pogranicza, gdzie wartownik informuje nas, że zjedliśmy manzanillo *(Hippomane Mancinella),* niezwykle trujący owoc i musimy czym prędzej zgłosić się do szpitala.

Wieść rozchodzi się lotem błyskawicy. Po chwili, w pewnej odległości za nami, formuje się cały pochód dzieci i młodzieży. Coraz ich więcej. My z przodu, z otwartymi paszczami ziejącymi ogniem, a oni za nami i niemal skandują: "Oni zjedli *manzanillo,* oni zjedli *manzanillo* !!!" Na rogu głównej ulicy stoi jakaś taksówka. Jedziemy nią do szpitala. Mnie pomogła wypita szklanka oliwy, ale jej nie, wszak zjadła **całe** *manzanillo*. Leży pod kroplówką ponad 3 godziny i co jakiś czas woła mnie i z płaczem mówi, że chyba koniec! Przeżyłem straszne momenty grozy. Za oknami, na zewnątrz sarnie oczy ciemnoskórych pielęgniarek, z ciekawością wypatrujące, kiedy ten koniec nadejdzie. Na szczęście, nie doczekały się. Powoli, bardzo powoli Rosario wraca do siebie. A miasteczko całe zmobilizowane. Zjawili się w szpitalu także właściciel hotelu i taksówkarz, który wiózł nas z Carúpano. Obaj bardzo się przejęli dowiedziawszy się, że „tych dwoje Amerykanów mówiących po hiszpańsku" zjadło *manzanillo* i pewno niewiele już im zostało na tym świecie…

Niezwykle trujące owoce manzanillo (Hippomane mancinella)

Nazajutrz czujemy się wybornie, jakby nic się nie stało. Przypomniałem sobie karnawał na pobliskiej Wyspie Trynidad, z takim entuzjazmem opisany przez Olgierda Budrewicza. Jedźmy więc na Trynidad! Telefonuję do portu Güiria, skąd odpływają statki na tę wyspę i oto, co słyszę w słuchawce: “Ostatni statek już wypłynął, ale mogą Państwo popłynąć nielegalnie, wynajmując prywatnie łódź motorową”. Decyzja szybka i już wychodzimy na szosę, zatrzymujemy jakiś dżip. Jadą nim dwaj chłopcy właśnie do Güiria, gdzie mają odwiedzić brata, właściciela sklepiku. Twierdzą, że on zna tam wszystkich i z wynajęciem łodzi nie będzie kłopotów, a i oni chętnie popłyną na Trynidad, by zobaczyć ten wspaniały karnawał. Znakomicie!

Po dłuższym oczekiwaniu w sklepiku dowiadujemy się, że łódź załatwiona, ale musimy czekać, aż zapanuje na dobre noc, bo wyjazd z portu ma być „nielegalny”. Towarzystwo na łodzi doborowe: jej właściciel, prymitywny i nieprzyjemny osobnik, trzej bracia (właściciel sklepu także płynie), ciemnoskóra pulchna i pucołowata córa Koryntu licząca na karnawałową klientelę, jeszcze czterech młodych chłopców i jeden starszy Murzyn, kumpel właściciela, para młodych Amerykanów i nas dwoje. Razem czternaście osób. Wyposażona w dwa motory łódź ma niecałe 10 metrów

długości. Zupełnie nieświadomi tego, co nas czeka, Rosario i ja siadamy na samym dziobie. Ledwie wypłynęliśmy poza falochron, na wody Zatoki Paria, łódź zaczyna skakać na wysokich falach i w obawie, by nie wypaść za burtę, czym prędzej siadamy na jej dnie.

Akacja tropikalna (Framboyán) na Trynidadzie

Rozmawiamy trochę z Amerykanami. Okazuje się, że babcia młodej Amerykanki pochodzi z Przemyśla. Mrok zupełny. Chłodno. Śpiewamy różne piosenki, w tym polskie. Tymczasem właściciel łodzi i córa Koryntu, nakryci kocem, nie próżnują. Śpiewamy im do taktu „Kręć się, kręć wrzeciono…”. Mamy do przebycia około 100 km w linii prostej do stolicy Trynidadu, Port of Spain. Końcowy odcinek to cieśnina między wenezuelskim Półwyspem Paria a Przylądkiem Corozal na Trynidadzie, nazwana przez Kolumba *Bocas de Dragón,* czyli Paszcza Smoka. Mamy szczęście, bo zwykle niesamowicie wzburzone tutaj morze o tej porannej porze jest wyjątkowo spokojne. Dopływamy do portu około godziny siódmej rano, a więc podróż trwała 6 godzin.

Przy nabrzeżu ogromny statek pasażerski *Stella Maris.* Mają nim popłynąć

na występy do Wenezueli miejscowi muzycy. Tymczasem grają na słynnych bakach po benzynie (te zespoły zwą się *steel bands)* i podłużnych białych rurach z falistej blachy – pocierając patykiem o ich nierówną powierzchnię. Rytm radosny, cudowny! Zaczynam wywijać w pożyczonym od któregoś z nich brązowym kapeluszu… To lubię i to bardzo!

Steel band

Choć przypłynęliśmy „nielegalnie”, musimy się zaszczepić przeciwko ospie. Kumpel właściciela łodzi radzi wycisnąć natychmiast ten płyn, by uniknąć gorączki i innych przykrych sensacji. Obok punktu szczepień jest telefon i książka telefoniczna. Telefonuję do pani Magdaleny Kurpielowej, kuzynki Kaliny Wojciechowskiej. Poznałem ją kiedyś w Warszawie. Ona: „No, bardzo miło! Zaraz pojedziemy z mężem po Państwa, ale proszę mi powiedzieć, jak się nazywa statek, którym Państwo przypłynęli?” Ja: „Proszę Pani, toż to łupina orzecha i nie ma żadnej nazwy!” Umawiamy się więc na zewnątrz, przy urzędzie celnym. Jeden z tych dwóch chłopców, którzy wieźli nas dżipem, zostawia nam telefon i ustalamy wstępnie, że powrót nastąpi za trzy dni. Jako turyści „nielegalni”, nie mamy innej opcji: musimy wracać w ten sam sposób.

Za godzinę mniej więcej przyjeżdżają Państwo Kurpielowie i zabierają nas do siebie. Mieszkają w odległej o jakieś 5 km od centrum Port of Spain uniwersyteckiej dzielnicy St. Augustine. Spędzimy tam trzy dni i trzy noce. W domu wita nas głośnym ujadaniem wilczur Brutus. Jest pięknie! Dookoła cudowne tropikalne drzewa i krzewy. Pan Kurpiel co kawałek serwuje znakomite drinki. Chyba zaraz po śniadaniu i krótkim odpoczynku wiozą nas na najpiękniejszą plażę, jaką widziałem w życiu: Las Cuevas Beach. Znajduje się na północnym wybrzeżu wyspy, obok dwóch innych, równie pięknych: Maracas i Blanchisseuse. Tworzy ogromną, piaszczystą podkowę z pokrytymi dżunglą wysokimi górami w tle, a bliżej, doliny wypełnione gajami palm kokosowych. Jakże bujna, soczysta zieleń! Błękitna woda w morzu wprost krystalicznie czysta. Kąpiel jest niebywałą rozkoszą. A jeszcze wieniec skał pośrodku morza tworzący rodzaj jaskiń bez sklepienia, skąd nazwa Las Cuevas Beach, czyli Plaża Jaskiniowa. Można tam wpłynąć do środka, niby do wielkiego naturalnego basenu o ścianach skalnych porośniętych dziką malangą *(Colocasia antiquorum)* o olbrzymich sercowatych mięsistych liściach, ocumo *(Xanthosoma sagittifolium)*, którego liście też wielkie i mięsiste, ale podłużne, wielkimi paprociami, bujną trawą.

Czyż można sobie wyobrazić bardziej rajską scenerię? Spacer wzdłuż plaży, cóż to za przyjemność! W te ostre szczyty pokryte skłębioną roślinnością i otoczone jakąś błękitną mgiełką można się wpatrywać bez końca! I jakże czysto, jaki błogi spokój w porównaniu z plażami wenezuelskimi! Byliśmy tam chyba dwa razy i w drodze powrotnej mijaliśmy leżącą parę kilometrów na wschód plażę Blanchisseuse, widoczną między pniami palm kokosowych. Grzywiaste bałwany fal, a za nimi przepiękny szmaragd przejrzystej wody! Oczy aż się rwały do tego widoku! No, ale wszędzie nie mogliśmy być…

Plaża Las Cuevas

Głównym naszym celem było obejrzenie karnawału na ulicach Port of Spain, dokąd jeździliśmy z St. Augustine zbiorowymi taksówkami w towarzystwie tubylców, czyli głównie Murzynów, czemu pani Nena Kurpielowa nie mogła się nadziwić, no bo „jak można narażać żonę na takie towarzystwo!”. Kiedyś widzieliśmy po drodze pogrzeb i ku naszemu zdumieniu wszyscy ciemnoskórzy żałobnicy byli w śnieżnobiałych strojach, a panie z parasolkami od słońca. W niezbyt ciekawym architektonicznie centrum miasta odbywały się barwne niezwykle pochody karnawałowe. Stroje przebogate, błyszczące, wielokolorowe, z ogromną ilością różnobarwnych piór, całe ich fragmenty z połyskliwej srebrzystej cienkiej blachy, srebrnego i złotego papieru, lusterek, wszelkiego rodzaju błyskotek i świecidełek wyobrażają jakieś wielobarwne ogromne kwiaty, motyle, fantastyczne ptaki, ryby, smoki i nie wiem, co jeszcze… Każda osoba tak przebrana ledwie jest widoczna w powodzi ozdób, co sprawia wrażenie, że taki kwiat czy motyl poruszają się niemal samoistnie. To swoisty pokaz nie tyle strojów, co fantastycznych zgoła całych dekoracji.

Diabeł z Yare

Dziecięcy karnawał. Trynidad

Tańczący tłum niezwykle elastycznie, iście wężowo porusza się w rytm stalowych

bębnów, na których grają wyżej wspomniane *steel bands,* gęsto otaczając kilkuosobowe grupy muzyków. Bębny umocowane są na wielkich wózkach z żelaznych prętów. Nad wózkami płócienne daszki od słońca. Każdy z perkusistów obsługuje dwa lub trzy bębny, uderzając w nie gumowymi młoteczkami. Powierzchnia tych bębnów podzielona jest na kilka trójkątnych części i z każdej z nich wydobywa się inny, ale zawsze dość wysoki ton, w niczym nie przypominający odgłosu bębna. Podobno na tych stalowych bębnach można znakomicie grać utwory Mozarta, na przykład. Ludzie w tańcu popijają rum, bo prawie każdy tańczy z butelką rumu w ręce.

Mighty Sparrow

W upalne popołudnie na wielkim placu na obrzeżach centrum, zwanym Queen's Park of Savannah, czyli Park Królowej na Sawannie, oglądamy występy solistów śpiewających typowe dla tej wyspy pogodne calypso i marsze karnawałowe. Sądząc po reakcji publiczności, która co chwila wybucha salwami śmiechu, ich słowa muszą być nadzwyczaj zabawne. Co roku organizowany jest konkurs na najlepszy marsz karnawałowy. Tym razem zwycięża *School days, very happy days!* („Szkolne dni, jakże szczęśliwe dni!") w wykonaniu pana o pseudonimie artystycznym Sparrow Spectacular (Nadzwyczajny Wróbel). Dzisiaj widzę, że później zaczął być znany jako Mighty (Wielki)Sparrow. Urodził się w 1935 roku na Wyspie Grenadzie i w latach 70 i 80 uchodził za najlepszego wykonawcę calypso. Publiczność zachowuje się jak na pikniku: każdy je kurczaka lub jakąś kanapkę, najczęściej obficie polaną zielono-żółtym, bardzo aromatycznym i pewno pikantnym sosem i coś popija, mnóstwo

rozwrzeszczanych lub płaczących dzieci… Ciekawe, że choć procent zamieszkujących wyspę Hindusów jest dość wysoki (300 tysięcy w owym czasie, na niewiele ponad milion mieszkańców w ogóle), nie widać ich zupełnie podczas karnawału. Chyba nie uważają tego święta za swoje. Tu króluje ludność pochodzenia afrykańskiego.

Ostatniego popołudnia na Trynidadzie pani Nena prosi swego znajomego, bardzo uprzejmego pana Ackelsberga, by zechciał nam towarzyszyć wieczorem. Wiezie nas do Country Clubu, elitarnego miejsca rozrywki dla białej, bogatej mniejszości i głównie amerykańskich turystów. Jest to elegancki biały pałacyk z dużym basenem i pięknym, zadbanym parkiem naokoło. Tu biała młodzież próbuje tańczyć przy akompaniamencie karnawałowych rytmów. Ale gdzież im do kolorowych, ulicznych tancerzy! Ich ruchy są niezdarne, tępe, jakby byli wyciosani z drewna, istne Pinokia w tańcu! A pan Ackelsberg z pewnością chciał nam zrobić największą przyjemność!

Karnawał na Trynidadzie

Karnawał na Trynidadzie

Gdy zgodnie z umową czwartego dnia przed południem pojawiliśmy się w porcie, pasażerowie naszej łodzi czekali w komplecie, z wyjątkiem pary amerykańskiej, która nie wracała z nami do Wenezueli. Wszyscy mieli jakieś dziwnie zblazowane, wyczekujące miny. Na pytanie, kiedy odpływamy, właściciel rzucił od niechcenia: „Nie mamy pieniędzy na benzynę. Jeśli pożyczysz tyle, a tyle (była to niebagatelna

suma), kupimy benzynę i popłyniemy”. Dobrze wiedział, że zależy nam na szybkim powrocie do pracy i liczył na dodatkowy zarobek. Nie było wyjścia. Oczywiście, nigdy nie zobaczyłem tych pieniędzy… Ruszyliśmy około południa. Było szaro i pochmurno, a morze paskudnie rozfalowane. Byliśmy już dość daleko od Port of Spain, gdy zepsuł się jeden z dwóch motorów. Na łodzi wybuchła panika. Zaczęli się między sobą kłócić. Jeden obwiniał drugiego, że nie umie sterować, a najgłośniej wrzeszczała córa Koryntu.

Łódź dryfowała po niezwykle wzburzonym morzu zmierzając wprost ku skałom całkiem wyraźnie już widocznym na wenezuelskim brzegu i spadały na nią ogromne zielone góry wody. Rosario i ja siedzieliśmy fioletowi ze strachu, dygocząc i nic nie mówiąc. Byliśmy przekonani, że to koniec! Gdy ujrzeliśmy tuż przy łodzi wielką płetwę grzbietową wynurzającego się z wody rekina, nie mieliśmy już wątpliwości. Trwało to w nieskończoność. Na szczęście, morze uspokoiło się nieco i fale nie były już tak wielkie. Widać, byliśmy już poza właściwą Paszczą Smoka. Stał się cud: gdyby nie fakt, że ni stąd ni zowąd nastąpił spokój na morzu, niechybnie roztrzaskalibyśmy się o skały albo wcześniej jeszcze łódź wywróciłaby się i bylibyśmy smaczną kolacją dla rekinów.

Tak oto przeżyłem kolejno dwie najbardziej niebezpieczne przygody w moim całym dotychczasowym życiu. Najpierw zjedliśmy osławione *manzanillo*, a po kilku zaledwie dniach niewiele brakowało, a zjadłyby nas rekiny. Przyznam, że ta druga przygoda była dla mnie, mimo wszystko, straszniejsza, znacznie bliżej widziałem koniec mego żywota….

Katedra w Meridzie

Kolejną okazją do wyjazdu z Caracas był Wielki Tydzień i Wielkanoc, która wypadała wówczas 22 kwietnia. Postanowiliśmy tym razem odwiedzić przeciwny kraniec Wenezueli, a mianowicie Andy Wenezuelskie i ich stolicę, miasto Mérida, odległe od Caracas o 680 km na południowy zachód. O ile pamiętam, polecieliśmy tam samolotem. Założona w 1558 roku Mérida leży u stóp najwyższych gór Wenezueli, Sierra Nevada de Mérida (Śnieżne Góry Méridy), z najwyższym szczytem Pico Bolívar (5007 m. n.p.m.). Góry te stanowią najdalej na północ wysunięty łańcuch wysokich Andów. Samo miasto Mérida, choć tak dawno założone, nie może się pochwalić, niestety, żadnymi ciekawszymi zabytkami z okresu kolonialnego, może z wyjątkiem katedry i kilku domów w jej pobliżu. Przecina je rwąca górska rzeka Chama, która nadaje miastu swoisty urok. Na północno-wschodnim skraju miasta odwiedziliśmy Ogród Zoologiczny Wodospady Milla (*Parque Zoológico Chorros de Milla*), gdzie największą atrakcją były dla nas owe wodospady, dość wysokie, spadające dwoma segmentami. Andy są tak potężne i wyniosłe, że zamykają całkowicie wszelką perspektywę i stanowią de facto ogromny, czarno-biały, zwarty masyw tuż za południowo-wschodnimi obrzeżami miasta. W prostej linii najwyższe szczyty dzieli od miasta zaledwie około 10 km. Na szczytach widoczne są wieczne śniegi i lodowce.

Niestety, nie udało nam się wjechać kolejką linową na Pico Espejo (4765 m.n.p.m.), była akurat w remoncie. Pech niesamowity, bo jest to niewątpliwie największa atrakcja Méridy! Byliśmy niepocieszeni. Za to szczęście nam dopisało, gdy chodzi o

locum. Zamieszkaliśmy bowiem w starym centrum, u pani Luisy de Opalinski, starszej już, ale wciąż eleganckiej i uroczej Francuzki, wdowy po polskim przemysłowcu panu Opalińskim, który sprowadzał do Francji tkaniny produkowane w Żyrardowie, a do Żyrardowa maszyny włókiennicze z Francji. W związku z tym pani Luisa znała tylko dwa miasta w Polsce: Warszawę i właśnie Żyrardów. Gdy jej powiedziałem, że jestem z Polski, zapytała więc niezwykle oryginalnie: „Czy pan jest z Warszawy, czy z Żyrardowa?" Odpowiedziałem: „Prawie z Żyrardowa!", wszak miasto to dzieli od moich rodzinnych Skierniewic tylko 25 km. Pani Luisa była dla nas ogromnie miła. Codziennie rano stukała do naszych drzwi radośnie wołając: „To idę ja!" i przynosiła nam do łóżka znakomite śniadanie na tacy. To wtedy, pierwszy raz w życiu, ktoś mi przynosił do łóżka śniadanie. Zdarzyło mi się to później w Domu Pracy Twórczej w Oborach. Jedynym mankamentem była tam niezwykle zimna woda w kranach, płynąca prosto z gór. Kontrast z Caracas ogromny! Myjąc tą wodą zęby odsłoniłem sobie ich szyjki, co sprawiało dotkliwy ból. Po powrocie do Caracas miałem więc dodatkowy wydatek z ich plombowaniem u prywatnego dentysty, który słono sobie za to policzył. W ogóle temperatura w samym mieście i jego okolicach, zwłaszcza rano i wieczorem, była dość niska i musieliśmy wtedy chodzić w swetrach, rzecz nie do pomyślenia w innych regionach Wenezueli. No, ale byliśmy bardzo wysoko, wszak sama Mérida leży na wysokości 1645 m., a odwiedzaliśmy przecież także miejsca znacznie wyżej położone, na przykład Páramo de Mucuchíes, często spowity we mgle płaskowyż, porośnięty łanami żółtych *frailejones (Espeletia schultzii)*, bardzo podobnych do kwiatów podbiału, ale większych. Ich łodygi są długie, sięgają jednego metra, a rosnące w zwartych kępach duże liście są wełniste, grube i przypominają nieco, gdy chodzi o konsystencję, liście szarotki. Patrzę teraz na moją fotografię z tego płaskowyżu. Siedzę na niej w grubym swetrze u stóp ostrego głazu, a dookoła szare, mięsiste kępy wielkich liści frailejonu. Z tyłu mgła zakrywająca, niestety, bardziej otwarte tutaj perspektywy. By wjechać na płaskowyż trzeba pokonać bardzo długi i stromy podjazd pełen bardzo ostrych zakrętów i serpentyn.

Ruana. Ponczo w Andach wenezuelskich

Warto powiedzieć parę słów na temat budownictwa, strojów i upraw w tym regionie. Otóż to wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż w innych częściach Wenezueli. Wydawać by się mogło, że w istocie jesteśmy w innym kraju, a wszystko dlatego, że to Andy, kraina zamieszkana przez Indian andyjskich lub tutejszych Metysów, a więc ludy zupełnie inne etnicznie, niż na nizinach. Ubierają się zgodnie z panującym tu chłodem w czerwone poncza zwane *ruanas.* Domy także dostosowane są do klimatu, mają grube ściany z kamienia, a dachy kryte czerwoną okrągłą dachówką są bardziej strome z uwagi na częstsze opady deszczu. Wysokogórskie hale, pola i skraje dróg odgrodzone są kamiennymi murkami. Uprawia się pszenicę, a spośród drzew dominują tu charakterystyczne dla Andów eukaliptusy. Jest rzeczą znaną powszechnie, że granice państw latynoamerykańskich wytyczono w sposób niezwykle sztuczny, dzieląc regiony stanowiące etniczną, kulturową i klimatyczno-geograficzną całość. Tak się stało i tutaj. Andy wenezuelskie to przedłużenie Andów

kolumbijskich, z którymi mają pod każdym względem więcej wspólnego, niż z jakimkolwiek nizinnym regionem Wenezueli.

Typowym andyjskim miasteczkiem turystycznym jest Jají, położone w sercu gór, około 30 km na zachód od Méridy. Dominuje nad nim obszerny Plac Bolivara z kolonialnym kościółkiem o zgrabnej, pomalowanej na biało-niebiesko fasadzie i wdzięcznej dzwonnicy. Długie parterowe domki przy placu też utrzymane są w tych samych kolorach. Z placu wspaniały widok na gęsto porośnięte drzewami ciemnozielone doliny i spowite w chmurach wysokie szczyty na horyzoncie.

Miasteczko Jaji

Z okazji Wielkiejnocy przedstawiono na jednym z placów Méridy, tuż obok kościoła, widowisko pasyjne, a więc sceny z Ostatniej Wieczerzy, modlitwa Chrystusa w Ogrójcu i inne epizody poprzedzające Jego śmierć. Było to ukazane z tak przesadnym realizmem i nadmierną, sztuczną dbałością o szczegóły, że, mimo podniosłości całej

symboliki, Rosario setnie się bawiła patrząc na zrezygnowaną minę rudowłosego Judasza, gdy siedząc na drzewie zakłada sobie pętlę na szyję lub na widok Chrystusa, który majestatycznie przechadza się wsród uczniów, ani na chwilę nie opuszczając ręki z dwoma palcami charakterystycznie złożonymi i uniesionymi ku górze. Dosłownie popiskiwała ze śmiechu!

Chyba niedługo po powrocie z Méridy odwiedziliśmy w dzielnicy Altamira Sur znajomego Polaka, pana Feliksa Żubra rodem ze Żmudzi. To jego mama powiedziała kiedyś do mnie, że nie może pojąć, jak to jest, że polska młodzież nie chce się dobrze nauczyć rosyjskiego. „Przecież język wroga trzeba znać doskonale!" Na to ja: „Wydaje mi się, że ja radzę sobie z nim nieźle". Ona: „Nu, dawajtie, pogoworim!" Ja: "Nu, dawajtie!" Po krótkiej rozmowie uznała, że faktycznie nieźle sobie radzę i że chyba jestem wyjątkiem…

Pan Feliks, gdy dowiedział się, ile płacimy właścicielowi za wynajmowane od niego mieszkanie, stwierdził, że to stanowczo za dużo i że jest specjalna ustawa, która ustala te opłaty. Sprawdziliśmy i w efekcie okazało się, że przepłacamy i to bardzo. Powiadomiony o tym właściciel, niejaki Michele Sisco, Włoch z pochodzenia, nie był bynajmniej uszczęśliwiony, ale w końcu stanęło na tym, że nie będzie nam oddawał różnicy za minione miesiące, a my będziemy już teraz płacić mu tyle, ile wynika z owej ustawy. Tym sposobem zaczęliśmy oszczędzać na wielką wyprawę po Ameryce Południowej, zaplanowaną na koniec sierpnia.

W czerwcu przyjechał na wykłady do Instytutu Pedagogicznego znany hispanista-literaturoznawca z Uniwersytetu w Bordeaux, prof. Noël Salomon (1917-1977). Pamiętaliśmy o tym, że 21 czerwca, w Boże Ciało, musimy jechać do miasteczka San Francisco de Yare, niespełna 100 km na południe od Caracas, by zobaczyć tam słynne procesje "tańczących diabłów", znane w całej Wenezueli afro-wenezuelskie obrzędy. Pojechaliśmy tam autobusem w towarzystwie prof. Salomona i jego korpulentnej żony. Dzień był pochmurny, ale parny, duszny. Turystów chętnych obejrzenia słynnych diabłów, całe tłumy. Ciekawy bardzo jest ich czerwony strój z przypiętym z tyłu do kaptura żółtym słomianym krzyżem i niesamowita, fantastycznie kolorowa maska o twarzy niby ludzkiej, ale z wielkimi krowimi rogami i uszami, takie skrzyżowanie człowieka z bykiem. Inne maski, rzadziej spotykane, są typowo zwierzęce, ale wyobrażają zwierzęta fantastyczne, zbliżone do polskiego turonia.

Wszędzie dominuje kolor czerwony nawet na ołtarzach wzniesionych na trasie procesji: kwiatów czerwonych jest najwięcej, a znacznie mniej różowych, białych czy żółtych. Dom Diabła, mieszczący siedzibę tego stowarzyszenia o charakterze głównie dobroczynnym i mającego na celu wzajemną pomoc i wspieranie wszystkich jego członków, także jest cały czerwony, a nad drzwiami wisi wielka czerwono-niebieska maska o twarzy "krowio-ludzkiej". Diabły najpierw muszą w skupieniu wysłuchać mszy, ale nie wolno im wchodzić do kościoła: klęczą wszystkie na zewnątrz, a gdy msza się skończy, wychodzi ksiądz z kropidłem i święci diabły święconą wodą (sic!). Dopiero gdy są poświęcone, zaczyna się procesja uliczkami miasteczka. Idą tańcząc i potrząsając rytmicznie marakasami. Są to grzechotki zrobione z wydrążonych tykw i wypełnione nasionami. Zatrzymują się przed kolejnym ołtarzem i procesja kończy się przed Domem Diabła.

Maska diabła z Yare

Oto przykład afro-katolickiego synkretyzmu religijnego. Alejo Carpentier do swej powieści *Podróż do źródeł czasu* wplótł ten motyw tańczących diabłów, ale całą scenę umiejscowił gdzie indziej, a mianowicie wśród ruin klasztorów Kapucynów Katalońskich, na skraju gujańskiej dżungli, nad rzeką Orinoko, we wschodniej

Wenezueli.

Mniej więcej pod koniec czerwca wzięli ślub nasi bliscy znajomi, Olivia Carmona i Artajerjes Muñoz. Byliśmy oboje na skromnym przyjęciu poślubnym, które odbyło się u Arty, w samym centrum Caracas. Wybrali się potem w miesięczną podróż poślubną po Ameryce Południowej, zaczynając od Kolumbii, przez Ekwador, Peru, Boliwię, Chile, Argentynę, Urugwaj, a kończąc na Brazylii. Po powrocie opowiadali nam swoje wrażenia i postanowiliśmy, idąc za ich przykładem, zorganizować podobną podróż przed powrotem do Europy i załatwić ją nawet w tym samym biurze podróży, czyli w Italcambio. Podróż ta była stosunkowo tania, ale nie można było przekroczyć 30 dni od momentu wyjazdu. U mnie były, oczywiście, problemy z wizami. Z tego powodu odpadła tym razem Kolumbia, ale nie żałowaliśmy specjalnie, bo już trochę znaliśmy ten kraj. Zresztą, szczerze mówiąc, dobrze, że tak się stało, bo mielibyśmy mniej czasu na pozostałe kraje. Do krajów o reżimach lewicowych wiza była niepotrzebna. Były to wówczas Ekwador, Peru i Chile. Do Boliwii, mimo, że rządził tam wówczas prawicowy Hugo Banzer, wizę dostałem bez problemów. Wciąż nie miałem wizy argentyńskiej, ani brazylijskiej. W Urugwaju rządziła wtedy prawicowa junta wojskowa i w konsulacie powiedziano mi, że nie mam najmniejszych szans z moim paszportem PRL. Pozostawała jeszcze do załatwienia przed wyjazdem wiza amerykańska. Mieliśmy bowiem wracać do Hiszpanii przez Puerto Rico i nie można było zostawiać tego na ostatni tydzień pobytu w Wenezueli, po powrocie z wyprawy. Jednym słowem mnóstwo biegania i załatwiania, a tu jeszcze miałem do skończenia tłumaczenie z hiszpańskiego na polski *Antologii Andrésa Bello,* wielkiego dziewiętnastowiecznego pisarza i humanisty wenezuelskiego, w opracowaniu samego ówczesnego prezydenta Wenezueli, Rafaela Caldery. Jeździłem więc codziennie do Instytutu Pedagogicznego i w swoim *cubículo,* odgrodzonym od innych tylko przepierzeniami, spędzałem całe godziny pisząc na maszynie mój przekład. Wieczorami nikogo już nie było poza mną i komary zlatywały się całymi chmarami tnąc bezlitośnie. Broniłem się przed nimi obficie rozpylając naokoło płyn przeciw komarom. Doszło do tego, że zatrułem się jego wyziewami i przez kilka dni musiałem się kurować, by móc kontynuować moją pracę.

Naszym pożegnaniem z Caracas była niedzielna wycieczka do *Parque del Este* (Parku Wschodniego), największego i najpiękniejszego parku wenezuelskiej stolicy. Aby tam dotrzeć musieliśmy przejechać przez całe miasto, z zachodu, gdzie

mieszkaliśmy, na wschód. Największą atrakcją tego parku jest jeziorko porośnięte cudowną wodną roślinnością, a więc różowo kwitnącymi nenufarami, jakimś rodzajem kalii wodnych na wystających wysoko nad wodą grubych, szarych łodygach i wieloma innymi pięknymi roślinami, które tworzą na powierzchni wody istne ciemno-zielone dywany. Na jeziorku tym zacumowano pięknie wykonaną replikę karaweli *Santa María* Kolumba. Teraz dowiaduję się, że w 2008 roku Chávez nakazał jej rozmontowanie (podobno była w bardzo złym stanie), a na jej miejscu umieszczono wielką korwetę żaglową *Leander*, którą jeden z wielkich bohaterów walk o niepodległość, Francisco de Miranda, przypłynął w 1806 roku do wybrzeży Coro (450 km na zachód od Caracas). Z Parku Wschodniego otwiera się wspaniała perspektywa na najwyższe szczyty Kordyliery Nadmorskiej, zwanej też Nadmorskimi Andami, prawie zawsze spowite w chmurach.

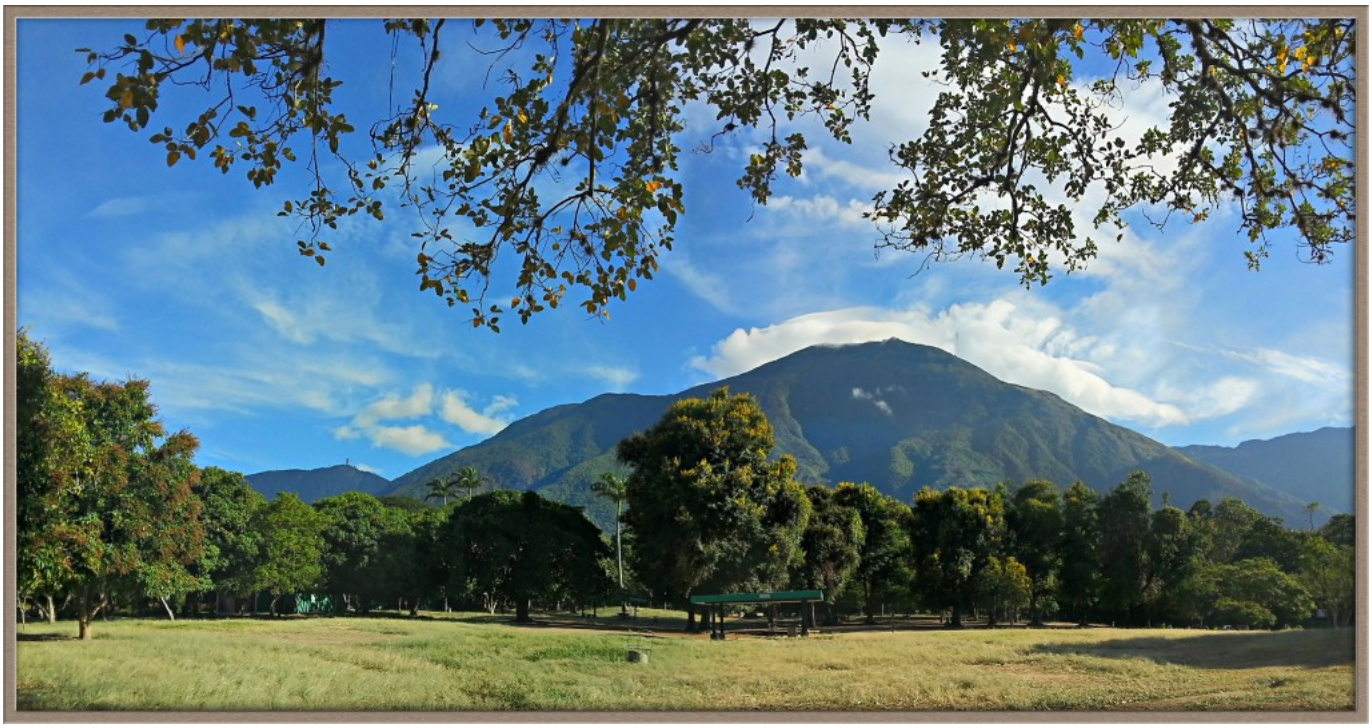

Park Wschodni

Fregata Leander w Parku Wschodnim

Na kilka dni przed odlotem do stolicy Ekwadoru, Quito, co nastąpiło w połowie sierpnia, Rosario zadecydowała, że musimy spakować wszystkie nasze rzeczy i poza tym, co zabierzemy ze sobą w podróż, wszystko inne (a było tego sporo) zostawimy u Państwa Adamowiczów. Po powrocie z wyprawy spędzimy ostatni tydzień przed wyjazdem do Madrytu w hotelu *El Pinar* w naszej dzielnicy *El Paraíso.* Szczerze mówiąc nie byłem zachwycony taką decyzją, bo okropnie nie lubię mieszkać w hotelach, ale Rosario uznała, że tak będzie najlepiej i w końcu uległem. Zbliżała się data wielkiej wyprawy…

Poprzednie części:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/

Galeria

Karnawał na Trynidadzie

Karnawał na Trynidadzie